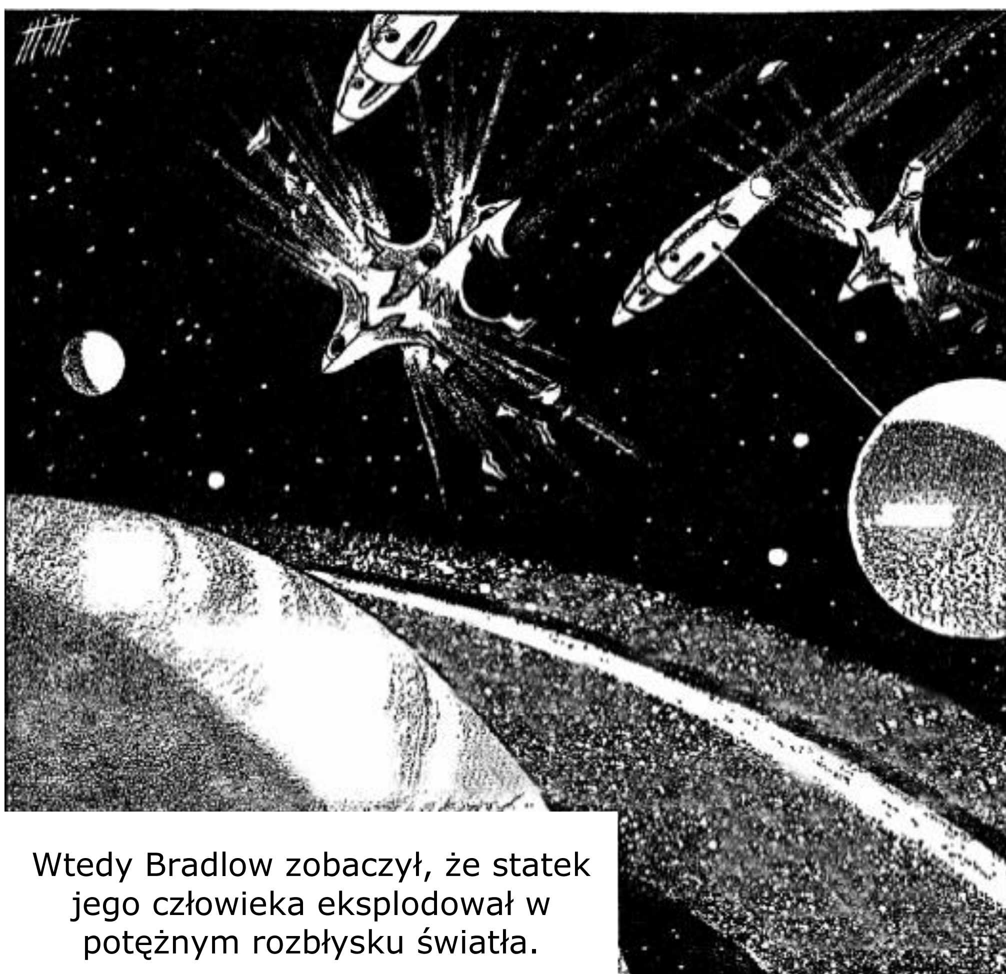
Raymond Z. Gallun

Pan Pierścieni Saturna

(Saturn's Ringmaster)

Thrilling Wonder Stories, December 1936.
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz



Wtedy Bradlow zobaczył, że statek jego człowieka eksplodował w potężnym rozbłysku światła.

Ziemianin i Uranianin, bezradni i porzuceni w kosmosie, obmyślają sprytną pułapkę na międzyplanetarnego przestępcę!

– To koniec, pokonałem cię, Raffie Orethon. Nowe pole odbijające Esar, chronić będzie mnie i moich ludzi, a nie kolonię na Tytanie. Mógłbym cię teraz, po prostu zabić, ale to byłoby zwykłe marnotrawstwo energii. I tak jesteś już w zasadzie martwy. Czasami takie niedokończone morderstwo sprawia dużo więcej satysfakcji, mój drogi. Jeżeli ty i ta twoja śmieszna uraniańska maskotka, myślicie o próbie wykręcenia się od śmierci, to jestem pewien, że ucieczka przed nią, będzie wymagała naprawdę wytężonej gimnastyki umysłowej. To, już chyba wszystko. Korse Bradlow, Pan Pierścieni, ma jeszcze mnóstwo innych spraw do załatwienia. Do widzenia durny frajerze! Żegnajcie!

Raff Orethon, bezradnie siedział przypięty do fotela, w rozbitej kabinie policyjnej łodzi kosmicznej. Słowa Bradlowa, cicho bzyczące w

słuchawkach hełmu tlenowego, odbierał jedynie jakąś odległą, wypełnioną mgłą cząstką świadomości. Jego zmysły i zdolność logicznego myślenia, ciągle jeszcze były jakby otępiałe po katastrofie. Pozostawało w nich miejsce niemal wyłącznie na jedną myśl –– zawiódł.

Zamglonym wzrokiem obserwował, jak Korse Bradlow pełznie po zwietrzałej powierzchni meteoru, w który wbiła się zniszczona łódź kosmiczna. Widział jak potem prostuje się, przytrzymując mocno przyciśnięte do pancerza próżniowego, metalowe pudło, które zawierało skradzione modele Esar. Na koniec zobaczył, jak Bradlow energicznie podskoczył, odrywając się od wielkiej bryły kosmicznego śmiecia, złapał poręcz wejściową swojego bogato zdobionego złocistego statku kosmicznego, swobodnie dopłynął przez próżnię do włazu, otworzył go i zniknął we wnętrzu pojazdu.

Chwilę później silniki rakietowe złotego pojazdu wypluły z siebie strugi jaskrawego ognia, które strzeliły do tyłu, jasno oświetlając nieskończoną mroźną panoramę pierścieni Saturna. Ich odblask kurczył się szybko, roztapiając się, pomiędzy ognikami gwiazd.

– Orethon, i co my teraz zrobimy?

Pytanie, które właśnie zabrzmiało w słuchawkach radiowych Ralfa, mógłby zadać człowiek, przynajmniej jeśli chodzi o jego formę i znaczenie, ale w tonie głosu pytającego dało się wyczuć osobliwie metaliczny, zgrzytliwy pogłos, tak jakby został on odtworzony ze starego i taniego fonografu. A dla niepoinformowanego obserwatora, już przede wszystkim samo źródło pochodzenia głosu, mogło zdawać się bardzo intrygujące. Dźwięk wydobywał się bowiem z bębna membrany głosowej Ruzzy z Urana.

Raff nie odpowiedział od razu. Próbował najpierw nieco uporządkować w głowie wszystkie ostatnie wydarzenia, starając się przypomnieć sobie po kolei, co się stało.

Do kolonii na Tytanie, księżycu Saturna miały zostać dostarczone modele Esar. On zaś wyruszył na Marsa, aby je stamtąd zabrać. Jakoś jednak, prawdopodobnie dzięki agenturze swojego sprawnego systemu wywiadowczego, o jego misji dowiedział się Korse Bradlow, największy łotr i szelma, w obrębie orbity Plutona. Musiał on w jakiś sposób, przewidzieć cel wyprawy, którym było wykonanie przez siły prawa skutecznego ruchu, zapobiegającego jego pirackim napadom.

Gdyby aparat Esar został zainstalowany w pełnym zakresie, jego tarcza śmiertelnej energii ekranowałaby kopuły kolonii, już na zawsze czyniąc ją odporną na ataki piratów. A w międzyczasie statki policyjne mogłyby kontynuować swoje uderzenia na obóz Bradlowa na Tetydzie, bez obawy przeprowadzenia akcji odwetowej.

Była to niebezpieczna sytuacja dla człowieka, który obdarzony pewną nutą poetyckiego humoru, określał się mianem Pana Pierścieni. Musiał

więc natychmiast podjąć próbę przeciwdziałania. Zakradłszy się od rufy, strzałem protonowym uszkodził statek Raffa, czyniąc go niezdolnym do lotu i powodując jego niekontrolowane nurkowanie w pierścienie, gdzie rozbił się, uderzając w meteor. Fakt, że Orethon przeżył kolizję, był jednym z tych dziwnych uśmiechów szczęścia i względności ruchu.

Meteor, krążący wokół Saturna z szybkością wielu mil na sekundę, leciał tylko odrobinę wolniej niż pobawiony kontroli statek, i w tym samym kierunku. Tylko dzięki temu Raff i jego niesamowity towarzysz ciągle jeszcze żyli. A ponieważ nie zostali nawet ranni, tylko na wpół ogłuszeni, a śmierć przez uduszenie, która ich nieuchronnie oczekiwała, przemawiała do sadystycznej natury Bradlowa, tak więc przestępca pozostawił ich przy życiu.

Zabrał im jednak modele Esar.

Teraz, młody Orethon, był już w stanie ocenić wszystkie szczegóły sytuacji w jakiej się znaleźli.

Z oszołomieniem spoglądał w dół, na dużą fibrotexową kieszeń na przedzie swojego skafandra kosmicznego. Wypełniona ona była dosyć odrażająco wyglądającą zawartością.

– A co niby mielibyśmy zrobić, Ruzza? – zapytał ze znużeniem. – Możemy tylko podziwiać widoki, jak mi się wydaje. Oczywiście dopóki nie skończy nam się tlen.

Ruzza był tubylcem zamieszkującym podziemne jaskinie Urana. To właśnie jego ciało, które na Ziemi miałoby niecałe trzy funty wagi, wypełniało teraz kieszeń Raffa. Ruzza stanowił groteskowo humorystyczną demonstrację faktu, że nie wszystkie inteligentne formy życia, muszą przyjmować ludzkie kształty. Jego ciało miało formę kuli z twardych brązowych mięśni, z której wyrastały wrażliwe chwytne macki. Cztery z nich, dłuższe i grubsze od innych, pokryte ochronnymi powłokami z przezroczystego podobnego do celofanu materiału, wystawały w zabawny sposób przez górną krawędź kieszeni. Przesuwały się niespokojnym ruchem, z jednej strony na drugą.

Na ich koniuszkach, przez przezroczystą powierzchnię otaczającego je dziwacznego skafandra kosmicznego, wyglądały jasne, paciorkowate, inteligentne oczy. Ruzza w swoim kraju, był znanym i szanowanym naukowcem. Jego związek z Orethonem, kwestia ostatnich siedmiu ziemskich miesięcy, stanowił efekt nienasyconej żądzy przygód, płonącej w przypuszczalnie istniejącej duszy, małego stworzenia. Za przywilej podróżowania z Orethonem, w ramach jego obowiązków policyjnych, płacił sztabkami bezcennego aktynu. A chociaż młody Ziemian, uważał często nieustanną obecność Ruzzy za irytującą, był w stanie ją ścierpieć z powodu zapłaty jaką otrzymywał. Każdy przedsiębiorczy młodzian postąpił dokładnie tak samo.

Uranianin wydał z siebie bzyczącą wersję ludzkiego śmiechu.

– Przynajmniej te widoki są bardzo sympatyczne, co nie, przyjacielu? – spytał.

Orethon zgadzał się z jego opinią i potwierdził to ponurym skinięciem głową. To właśnie te niekończące się wysiłki Ruzzy, aby zachowywać się miło i przyjaźnie, najbardziej go irytowały. Teraz jednak nie mógł nie zgodzić się ze swoim małym kompanem.

Spektakl rozgrywający się wokół nich, był chyba najwspanialszym i najpiękniejszym widowiskiem w całym Systemie Słonecznym, a być może nawet i w całym wszechświecie. Wielki meteor, o który się rozbili, był zaledwie jednym z wielu nieprzeliczonych miriadów, które znajdowały się w zasięgu wzroku. Zakres wielkości kosmicznych skał, był niesamowity. Niektóre z nich były równie masywne, jak małe góry, podczas gdy olbrzymie rzesze innych, drobniutkie jak ziarenka kurzu. Błyszczały srebrzystą poświatą, odbitych promieni odległego Słońca, tworząc wspaniałą, wyginającą się w łuk wstęgę, o szerokości kilku ziemskich globów.

W pobliżu, tuż koło samego rozbitego statku, wstęga była poznaczona cieniami, wyglądała jak mgiełka, ale wraz ze wzrostem odległości, jej zarys wygładzał się, aż w końcu stawała się wielką drogą, zataczającą ogromny krąg, wokół pokrytej chmurami potężnej kuli Saturna. Każda składająca się na nią bryłka kosmiczna oraz miniaturowa cząsteczka, była malutkim księżycem gigantycznej planety.

Ponad cieniutką powierzchnią pierścieni, ponuro jaśniały większe satelity, Mimas, Rhea, Tytan i… Tetyda. Tetyda, gniazdo bandy Bradlowa. A jeszcze dalej, za księżycami, widać było gwiazdy, niesamowicie jasne na tle zimnej czerni nieskończonej pustki wszechświata.

W innych okolicznościach, Raff Orethon może nawet uznałby ten widok, za naprawdę interesujący. Teraz jednak surowe piękno natury podkreślało tylko beznadziejny charakter położenia w jakim się znaleźli. Jego łódź kosmiczna została kompletnie rozbita, a uszkodzenia przekraczały jakiekolwiek możliwości naprawy. Jedno spojrzenie przez roztrzaskane okno obserwacyjne, na zgnieciony dziób statku, błyszczący w zlewającym się razem świetle z wielu źródeł, najzupełniej wystarczało dla stwierdzenia tego faktu.

I nie chodziło tu tylko o to, że swoje życie stracą on i Uranianin. Zginie również wielu kolonistów z Tytana, a wielu innych zostanie zamienionych w niewolników. Teraz Korse Bradlow z pewnością znajdzie na to jakiś sposób.

– Co zrobi Pan Pierścieni teraz, kiedy ma już tarczę ochronną? – nagle zaczął dopytywać się Ruzza.

Raff wzruszył tylko ramionami, zirytowany przez to, jak mu się wydawało, dziecinne pytanie.

– Słyszałeś tę jego małą przemowę na wyjście – odparł. – Czy to ci nie wystarczy? W tej jego bandzie, pomiędzy renegatami z Ziemi i Marsa, zawsze znajdzie się wielu dobrych mechaników. Tak więc, oczywiście, zbuduje duży aparat Esar, który będzie chronił jego kwaterę główną na Tetydzie. A także będzie mógł zbudować drugi aparat, służący do

osłonięcia ekranem pirackiej floty. Mając ochronę takiego ekranu może po kolei zmieść z powierzchni, każdą kolonię na Tytanie, która nie podporządkuje się jego rozkazom. W końcu wszystkie z nich będą musiały mu się poddać. Opanuje cały układ Saturna! W tak dużej odległości od baz zaopatrzeniowych, ani flota Marsa ani Ziemi nie odważą się stawić mu czoła. A rabunki statków handlowych, bez wątpienia będą trwały nadal.

– Ależ, Raffie Orethon! – zabrzęczał do niego Ruzza. – Nie można dopuścić, aby coś takiego się wydarzyło!

Ziemianin czuł, jak narasta w nim rozdrażnienie.

– Jeżeli o to chodzi, to zgadzam się z tobą w całej rozciągłości – stwierdził. – Coś takiego rzeczywiście nie powinno mieć miejsca. Obawiam się jednak, że pomimo wszystkich naszych wysiłków, w żaden sposób nie jesteśmy w stanie temu zapobiec. Pozostaniemy na tej skale już do końca świata. Nie jesteśmy w stanie ocalić nawet naszych własnych głów. Komunikatory radiowe, pomimo pracy na maksimum mocy, nie dadzą rady przesłać wiadomości na Tytana, nawet gdyby taka wiadomość mogła cokolwiek zmienić, albo do czegoś się przydać. Statku pewnie również nie damy rady naprawić, a nawet gdybyśmy jakimś cudem zdołali to zrobić, to i tak nie udałoby się nam zalecieć zbyt daleko. To jest terytorium Bradlowa, jego patrole nigdy nie znikają na zbyt długo, z zasięgu wzroku. Uszkodzony statek z pewnością nie zdołałby im uciec.

– A gdyby udało nam się, przy pomocy jakiejś małej sztuczki zniknąć im z oczu? – spytał Ruzza.

– To byłoby niezłe – odpowiedział Raff, tonem pełnym gryzącego sarkazmu. – Z pewnością jeżeli od razu zabierzemy się do roboty, to bez trudu uda nam się wynaleźć jakąś sprytną machinę niewidzialności. Coś, czego nie udało się jeszcze osiągnąć, na żadnej ze znanych mi planet.

Ze środka kieszeni, w której znajdował się Ruzza, błysnęły w uśmiechu jego zęby, kiedy mu odpowiadał:

– Nie zrozumiałeś o co mi chodziło, Raffie Orethon! – pisnął rozbawiony. – Myślałem o czymś naprawdę dużo prostszym! Poczekaj! Wyjmij mnie i połóż na podłodze!

Ziemianin posłusznie wyciągnął Ruzzę, z jego osobliwego miejsca schronienia, i schylił się, aby położyć go na podłodze kabiny. Uranianin, ubrany w przezroczysty skafander kosmiczny, przy pomocy chwytnych macek, podciągnął się do dziury pozostałej po włazie, który wyleciał z zawiasów, w czasie katastrofy. Raff wyglądał przez za nim przez peryskop, obserwując szybki postęp wspinaczki kosmity zmierzającego w stronę rufy statku. Wkrótce Ruzza zanurzył się w ziejącej tam szczelinie i zniknął w plątaninie zmiażdżonych elementów konstrukcji ogona łodzi kosmicznej.

Po zniknięciu Uranianina, Orethon miał dłuższą chwilę spokoju, podczas której siedział w kabinie, wykorzystując wolny czas na sprawdzenie działka, znajdującego się na wyposażeniu policyjnego

pojazdu. Długa lufa broni, paskudnie wykrzywiła się u samego wylotu. Można było jednak odciąć zniszczoną część, czyniąc w ten sposób broń praktycznie równie dobrą jak nowa. Skomplikowany mechanizm celowniczy, wydawał się być nieuszkodzony. Po chwili jednakże entuzjazm Raffa opadł i te wszystkie myśli, wywołały u niego tylko cyniczny grymas warg. I jaki to niby miałby być z tego pożytek? On i Ruzza tkwili w beznadziejnej pułapce i byli zupełnie bezsilni.

W tej chwili jednak w słuchawkach hełmu Orethona ponownie zabuczał i zapiszczał głos Uranianina.

– Jeden z silników rakietowych jest nietknięty, a naprawa drugiego także nie powinna przekraczać naszych możliwości – oznajmił Ruzza.

– Tak? – spytał Raff. – No i co z tego? Nawet wszystkie nowe rakiety Ziemi i Marsa, nie dałyby rady sprawić, że ten stos złomu poleci w kontrolowany sposób!

– Poczekaj, Raffie Orethon – odparł Ruzza. – Dopiero zacząłem ci relacjonować mój plan. Zaraz wszystko wyjaśnię dokładniej. Musimy jednak być bardzo ostrożni. Trzeba zredukować do minimum moc nadajników naszych komunikatorów próżniowych, tak żeby nikt nie mógł nas podsłuchać.

Raff był średnio zainteresowany.

– Mój jest już oczywiście na minimum – stwierdził. – Dawaj!

Słuchał jak Uranianin niskim, buczącym głosem przedstawia mu w zarysie, swój pośpiesznie obmyślony plan. Przez jego młodą twarz, o twardych rysach, oświetloną blaskiem zlewających się razem miriadów światełek układu Saturna, przebiegła cała seria szybkich zmian nastroju. Z początku widać było na niej wyraz zatroskania i wątpliwości, potem zaczęło świtać zdziwienie, a następnie nadzieja. W końcu, powrócił na nią cały naturalny dla niego entuzjazm i pomysłowość, które to uczucia, jak się wcześniej zdawało, zupełnie się w nim wyczerpały.

Ponownie powrócił mu jego dawny energiczny, silny duch.

– Naprawdę warto tego spróbować – powiedział surowym tonem. – Być może nam się nie uda, ale na to już nic nie możemy poradzić.

Przez minutkę siedział w fotelu przygryzając wargę i próbując dopracować sobie w głowie co mniej jasne elementy planu.

– Będziemy musieli jakoś pozbyć się resztek, które pozostały ze statku – zastanawiał się na głos. – Ale to powinno być w miarę proste. Wszystko co musimy zrobić, to odciąć je i wyrzucić w kosmos. No i będziemy musieli bardzo uważnie wyliczyć kurs, ponieważ nie możemy korzystać ze zwykłego, dobrze zbalansowanego, zestawu mechanizmów korygujących. Ponadto narażamy się na poważne niebezpieczeństwo kolizji z meteorami, ale tutaj już nie mamy wyjścia, musimy podjąć to ryzyko. Musimy też brać pod uwagę, że może przechwycić nas któryś z ludzi Bradlowa. Albo… wcale… niekoniecznie…

Brwi Raffa niemal zeszły się razem, w wyrazie głębokiego zastanowienia. Jego spojrzenie przypadkiem padło na małe pociski atomowe w pasach amunicyjnych karabinu maszynowego. Każdy pocisk wypełniony był materiałem wybuchowym o olbrzymiej mocy, każdy

wyposażony był również w zapalnik czasowy, który mógł opóźnić eksplozję nawet o pełną minutę od momentu uderzenia w cel.

Nagle zalała go fala wdzięczności i ulgi, z powodu możliwości tych zapalników. Opóźnienie, które dawały, mogło dla jego małego, zdumiewającego towarzysza i niego samego, oznaczać różnicę między życiem i śmiercią.

– Chodźmy, Ruzza! – powiedział w końcu. – Mamy mnóstwo do zrobienia, ale jeśli naprawdę się postaramy, to nie powinno nam to zająć zbyt wiele czasu!

Odpiął się od fotela i odesłał kopniakiem na bok, zniszczoną pokrywę włazu latacza, leżącą mu na drodze. Miał w swoim ekwipunku zestaw narzędziowy, spawarki laserowe, dłuta, klucze nastawne. Ostrożnie zszedł ze statku, na podziobaną powierzchnię meteoru. Siła przyciągania kosmicznego okruchu była niemal zerowa, i każdy nieco bardziej gwałtowny ruch mógł spowodować, że odleci w kosmos, pomimo butów magnetycznych, przyciągających go do niklowo-żelazowego stopu, jaki miał pod nogami.

Ruzza, na podobieństwo kłębu zielska, potoczył się w jego stronę, aby mu pomóc. Saturn i jego księżyce przyglądały im się, jakby zafascynowane dziwnymi działaniami istot żywych.

Korse Bradlow sprawnie prowadził swojego pozłacanego latacza kosmicznego, w kierunku Tetydy. Jego cienkie wargi wykrzywiał okrutny uśmieszek tryumfu. Był w doskonałym nastroju i nie musiał zachowywać specjalnej ostrożności. Znajdował się głęboko w sektorze kosmosu pozostającym pod kontrolą jego ludzi. Istniało tylko jedno znane mu zagrożenie, ale i ono nie było jakoś specjalnie poważne. Tak blisko pierścieni Saturna krążyło mnóstwo meteorów. Z tego właśnie powodu, oraz dlatego również, że nie było jakichś specjalnych powodów do pośpiechu, podążał swoją drogą, w dosyć leniwym i spokojnym tempie.

Rozmyślał o bardzo przyjemnych rzeczach. Ten niewielki akcik piractwa, którego właśnie dokonał, dowodzona przez niego zgraja powinna uznać za wymowny dowód jego zdolności przywódczych. To dlatego właśnie podjął się własnoręcznej kradzieży modeli Esar i zrobił to w pojedynkę. Jego podwładni, rekrutujący się z szeregów kryminalistów z całego Systemu Słonecznego, byli w najlepszym przypadku, tłumem o dosyć zmiennych nastrojach. Aby utrzymać się przy władzy, człowiek nieustannie musiał od nowa demonstrować swoje umiejętności.

A Korse Bradlow zdawał sobie sprawę, że jest jedynym człowiekiem, który był w stanie nimi dowodzić. To on zorganizował cały ten Cyrk Bradlowa, sam siebie mianując Panem Pierścieni. Bez jego osoby, drobne, ale krwawe scysje, z pewnością spowodowałyby wkrótce rozpad gangu, a

powstałe z niego rozmaite pomniejsze grupki, stałyby się łatwym łupem policyjnych patroli.

Teraz jednak, jego pozycja umocniła się w dwójnasób. Mógł więc spokojnie poświęcić czas, delektowaniu się oczyma wyobraźni, tymi wszystkimi przyjemnymi rzeczami, jakie wkrótce miały się wydarzyć. Widział więc już w myślach, błękitne płomienie odbijającej wszystko tarczy, chroniącej jego statki, nurkujące w dół, prosto na Tytana. Rozbijanie kopuł znajdującej się na nim Kolonii, chłostanie zamieszkujących tam ludzi, w celu zmuszenia ich do uległości. Tytan podda się, zanim jego pognębionym mieszkańcom uda się sprowadzić kolejne modele Esar. Korse Bradlow był szczęśliwy, pogrążony głęboko w kotłujących się w jego głowie marzeniach, marzeniach, które wydawały się być tak pewne realizacji, jak to, że na Ziemi następnego dnia ponownie nastanie poranek i zapadnie zmierzch.

Nawet nie spoglądał w wizjer dający mu obraz z tyłu. Gdyby jednak zrobił to we właściwym momencie, być może zauważyłby wąski sztylet jaskrawego ognia, rysujący się na tle olbrzymiej tarczy Saturna.

To mógł być ognisty ślad zwykłego pojazdu kosmicznego, zwiększającego swoją szybkość. Silniki rakietowe statków nawigujących w kosmosie, podczas lotu nie działają bez przerwy. Odpalane są tylko wtedy, gdy niezbędna jest zmiana szybkości lub kierunku lotu. W próżni, która nie stawia oporu, nie ma potrzeby nieustannego korzystania z mocy napędu. Statek może lecieć nie zmniejszając swojej szybkości, przez dowolnie długi, jeśli nie nieskończony, czas.

Po kilku chwilach, podążający za nim ognisty ślad, zgasł w ciemności. Bradlow nie zauważył go, a gdyby nawet, to pewnie pomyślałby tylko sobie, że gdzieś za jego rufą, któryś z jego podwładnych, wybrał się na oblot zwiadowczy kontrolowanego przez nich terytorium.

Zresztą, niemal dokładnie w tym momencie, na konsoli jego przyrządów, zaświeciła się mała czerwona lampka. Ktoś wywoływał go przez komunikator przestrzenny.

Przesunął dłonią kilka przełączników.

– Tu Pan Pierścieni – wycedził do mikrofonu w swoim hełmie tlenowym. Jego głos był rozleniwiony i znudzony.

– Pozostawienie mnie i Ruzzy przy życiu, było naprawdę głupie, Bradlow – dobiegły do niego słowa.

Chociaż Pan Pierścieni natychmiast rozpoznał głos mówiącego, nie czuł się specjalnie zaalarmowany.

– Naprawdę, Orethon? – spytał.

– Tak, Bradlow – padła spokojna odpowiedź. – Mamy jeszcze kilka sztuczek w rękawie, poza polem Esar. Nie wiedziałeś, że wieziemy na Tytana jeszcze jeden wynalazek, taki który powoduje niewidzialność statku kosmicznego. I właśnie teraz z niego korzystamy, mój przyjacielu. Jeśli pofatygujesz się włączyć lokalizator kierunkowy, i wykonać przy jego pomocy kilka obserwacji, to bez trudu zauważysz, że fale, przenoszące do ciebie tę wiadomość, docierają ze miejsca pochodzenia, które wyda ci się niezbyt prawdopodobne. Zmieniliśmy swoją pozycję, Bradlow. Nie jesteśmy już w pierścieniach. Znajdujemy się już spory kawałek od nich i

zmierzamy w twoją stronę, żeby cię zabić. W jaki sposób możemy się poruszać –– pozostawiam już twoim domysłom.

Pan Pierścieni skwitował to cichym i pogardliwym śmiechem.

– Podziwiam twoją bezczelność, Orethon – stwierdził. – Pewnie ja również próbowałbym blefować w podobny sposób, gdybym był żywym trupem, tak jak ty.

Tym niemniej Bradlow skupił swoją uwagę na prostokątnym zwoju drutu, podłączonym do uniwersalnego złącza. Ustawił go osią w kierunku, w którym powinni znajdować się Orethon i Ruzza, uwzględniając stały obrót materii pierścieni. Potem obserwował huśtającą się strzałkę czułego galwanometru. Jego wskazania nie były takie, jakie powinny być, biorąc pod uwagę moc nadchodzącej fali nośnej, która ciągle była transmitowana, pomimo że Orethon w tej chwili niczego nie mówił. Bradlow próbnie poruszył zwojem, szukając punktu wychylenia. I w końcu znalazł go, wysoko w górze, daleko poza pierścieniami, tak jak to powiedział Orethon!

Brwi Pana Pierścieni zmarszczyły się z zatroskaniem i namysłem. Przynajmniej ta część, z tego co mu powiedział młody pilot, była rzeczywiście prawdziwa. Ale przecież niemożliwe było, żeby prawdą była też cała reszta. A jednak, czy można było, być tego tak do końca pewnym? Przez chwilę Korse Bradlow poczuł lekkie ukłucie strachu. Potem jednak na szczęście, zobaczył przed sobą, na tle gwiaździstej kurtyny kosmosu, smukłe kształty siedmiu lataczy. Kilku jego podwładnych wyleciało mu na spotkanie. Ich obecność pozwoliła ukoić lekką niepewność, która dotknęła jego normalnie tak żelaznych nerwów.

Głos Orethona ponownie przemówił ze słuchawek jego hełmu.

– Z pewnością do tej chwili potwierdziłeś już, że to co ci powiedziałem, nie jest tak do końca bluffem – chłodno stwierdził. – Wydaję się być całkiem pewny siebie, co? Pewnie masz tam kilku swoich młodych pilotów w zasięgu połączenia. Lepiej zacznij wołać do nich o pomoc, Bradlow.

Władca Pierścieni nie zdradził nawet małej części z furii, jaką wzbudziła w nim ta ostatnia obraza.

– Dać ci małą lekcję, Orethon? – spytał delikatnym tonem. – No dobrze, moim chłopcom przyda się niewielki trening. Twoje życzenie zostanie spełnione, biedny frajerze!

Zmienił ustawienia swojego komunikatora próżniowego i wydał głośny gwizd do mikrofonu. To był jego ustalony sygnał, mający na celu ściągnięcie ich uwagi. Chwilę później usłyszał komunikaty z entuzjastycznymi odpowiedziami nadchodzące od jego ludzi.

– Melduje się Arka, sir…

– Melduje się Ledrak…

– Melduje się Leilson…

– Melduje się…

Lojalni Ziemianie i Marsjanie, natychmiast odpowiedzieli na wezwanie Pana Pierścieni.

– Formacja wachlarza! – ostro rozkazał Bradlow. – Szukać uszkodzonego latacza typu XL. Po zauważeniu, natychmiast rozwalić go w drobiazgi.

Po rozkazie nastąpiła seria liczb, która w języku nawigacji kosmicznej, wskazywała pozycję Raffa Orethona i Ruzzy, na tyle na ile był w stanie to określić, przy pomocy lokalizatora kierunkowego.

Złocisty statek Pana Pierścieni, wykonał ostry szybki zwrot, w strugach płomieni silników rakietowych. Pozostałych siedem lataczy, ruszyło za nim, jak horda wygłodniałych wilków. Bystre oczy wytężały wzrok, szukając przed sobą ofiary.

Mijały kolejne minuty. Uszkodzony pojazd niosący Orethona i Ruzzę, powinien już znaleźć się w zasięgu wzroku, ale jakoś nie chciał się tam pojawić. W przeszukiwanym obszarze nie było kompletnie niczego, poza kilkoma dryfującymi meteorami, poznaczonymi cieniami, w zlewających się ze wszystkich stron światłach Słońca, Saturna, jego księżyców i pierścieni. A meteory występowały tu zbyt często, żeby przyciągnąć coś więcej, niż tylko chwilową uwagę.

Bradlow zaczął odczuwać lekką nerwowość. Czy rzeczywiście mogła być jakaś szczypta prawdy w tym, co powiedział mu ten bezczelny pilocik patrolowy, o urządzeniu powodującym niewidzialność? Wcześniej, nie wierzył nawet w jedno słowo, z tej części opowieści Orethona, ale teraz sam już nie za bardzo wiedział, w co powinien wierzyć.

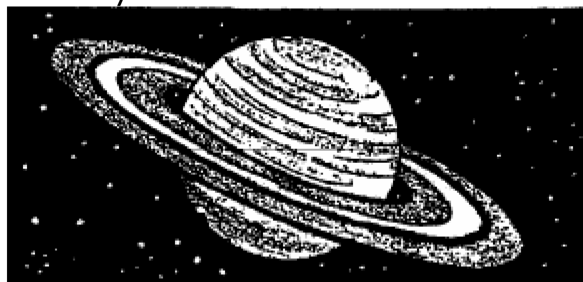
Nawet nie usłyszał, kiedy małe atomowe pociski wybuchowe, przebiły zewnętrzną powłokę jego złocistego latacza, ponieważ pomiędzy zewnętrznymi i wewnętrznymi powłokami pojazdu znajdowały się przedziały próżniowe, wytłumiające wszystkie dźwięki, które mogłyby pochodzić z tego źródła.

Minęło kilka chwil, zanim odpaliły zapalniki czasowe pocisków. Dopiero wtedy Bradlow zobaczył, jak jeden ze statków, pilotowanych przez jego ludzi, rozlatuje się w oślepiającym rozbłysku światła. W mgnieniu oka poczuł panikę, jakiej nigdy w życiu jeszcze nie doświadczył. Eksplozja atomowa, która rozdarła na strzępy jego własny pojazd, nastąpiła zbyt szybko i była zbyt gwałtowna, aby mogły ją zarejestrować dezintegrujące się w tym samym ułamku sekundy zmysły ludzkie.

Do tej chwili, meteory znalazły się już daleko za rufą. Jeden z nich był niezupełnie tym, czym się na pierwszy rzut oka wydawał. Jego wycelowany w Saturna kraniec, został lekko wydrążony, tak że uformowała się tam mała jaskinia. W pobliżu wejścia do jaskini, do stopu metalu, z którego zbudowany był meteor, przyspawano mocno parę

silników rakietowych. Ich wyloty zostały starannie schowane nieco głębiej we wnętrzu pieczary, aby zminimalizować możliwość dostrzeżenia ich przez ludzi Bradlowa. Z otworu jaskini, ponad dyszami silników, wystawała lufa skróconego karabinu maszynowego.

W głębi małej, wyciętej przy pomocy spawarek laserowych, jaskini, za karabinem kucał człowiek, a obok niego dostrzec można było groteskowe kształty Uranianina.



Wyglądając w tył, przez otwór swojego małego schronienia, dostrzegli kilka rozbłysków płomieni.

– Pięć, Raffie Orethon! – pisnął Ruzza. – Sam Pan Pierścieni oraz czterech jego ludzi! Specjalnie się upewniliśmy co do niego i jego złocistego statku. Nie żyje, a modele Esar zostały zniszczone. Bez jego przywództwa, Cyrk Bradlowa, z pewnością już wkrótce się rozpadnie. Tytan nie będzie nawet potrzebował żadnej nowej tarczy ochronnej. Niezły numer, tą moją sztuczką z „niewidzialnością”, co nie? Nasze silniki rakietowe, praktycznie zamieniły ten stary meteor w statek kosmiczny. Ale gdybyś ty, nie pomyślał o użyciu tych zapalników czasowych do pocisków atomowych, to nasi przyjaciele pewnie by nas dostrzegli i rozwalili w cały kosmos. Na widok pierwszego wybuchającego statku, powinni już wszystko zrozumieć. Ale załatwiliśmy tych pięciu, zanim ich piloci zdążyli się zorientować, co się dzieje. A pozostała przy życiu trójka, nigdy nas nie znajdzie. Ludzie, pilotujący te statki, nawet się nie domyślają, że prawda może być aż tak prosta.

W odpowiedzi na tę przydługą przemowę, Raff skinął tylko lakonicznie głową, ale kiedy popatrzył na małego Uranianina, najeżonego i brązowego jak jakiś przerośnięty rzep, z pól i ogrodów jego rodzinnych stron, a przy tym dzięki jakiemuś zaskakującemu kaprysowi natury, przejawiającemu całkiem ludzką inteligencję, w jego oczach pojawił się nowy respekt i szacunek, dla niesamowitego towarzysza. Wszystkie jego poprzednie drobne resentymenty, teraz gdzieś uleciały, a w ich miejsce pojawiło się w końcu, uczucie prawdziwej przyjaźni.

Raff zerknął na zegarek, przypięty na nadgarstku, po zewnętrznej stronie skafandra kosmicznego.

– Lecąc dalej naszym obecnym kursem, za jakieś dziesięć godzin znajdziemy się w odległości pozwalającej na kontakt z Tytanem, przez nasze komunikatory przestrzenne – powiedział. – Mamy dosyć tlenu, aby wytrzymać do czasu, gdy wyślą kogoś, żeby nas stąd zabrał. Tymczasem więc, co będziemy robić?

– Będziemy rozmawiać o Ziemi, śpiewać o Ziemi, a być może spać i marzyć o Ziemi – odparł Ruzza. – Myślę zresztą, że wkrótce tam polecimy. Przełożeni na pewno dadzą ci długi urlop i wysoką nagrodę, za tę sprawę Bradlowa. Cieszę się, ponieważ zawsze marzyłem o zebraniu kolekcji ziemskich motyli. Ty również się ucieszysz, ponieważ zobaczysz pannę Emily, ona też się ucieszy, ponieważ zobaczy ciebie. Wszyscy dookoła będą na równi zadowoleni, co?

Raff wyszczerzył wesoło zęby, pod pokrywą swojego przezroczystego hełmu tlenowego, i zaczął mruczeć melodię z jakiejś śmiesznej piosenki. Ruzza przyłączył się do niego, z trzeszczącym pobzykiwaniem.

A ponad sklepieniem ich meteorowej jaskini, nadal roztaczała się oszołamiająca panorama systemu Saturna, otoczona czarną pustką i sardonicznymi gwiazdami.

KONIEC